1846. Nr 32. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Objaśnienie rozbioru uwag: pod tytułem: Roczniki gospodarstwa krajowego i ich wpływ na rolnictwo, zamieszczonego w tychże rocznikach. Tom IX. N. 1 k. 139, przez Prof. Seweryna Zdzitowieckiego, (ciąg dalszy). — Poganka, powieść oryginalna, (Dalszy ciąg).— O bawełnie piorunującéj, rzecz napisana przez A. H.

OBJAŚNIENIE ROZBIORU UWAG:

pod tytułem:

ROCZNIKI GOSPODARSTWA KRAJOWEGO I ICH WPŁYW NA ROLNICTWO,

zamieszczonego w tychże Rocznikach.—Tom IX. N. 1. k. 139.

(Dalszy ciąg)

„Grunta odbywają dwie funkcye względem roślin. Służą im za podporę, za środek w którym się utrzymują i rozwijają korzenie; za zbiornik dla wilgoci potrzebnéj do wegetacyi i dla rozmaitych materyi zdolnych do żywienia, które swemi pierwiastkami udział mają. Mamy więc uważać je z dwóch względów.—Pierwszy całkowicie mechaniczny, ponieważ ma na celu poznać z jaką łatwością dozwala korzonkom rozszerzać się w gruncie, jaki opór stawia narzędziom, któremi człowiek ziemię przerabia, rozdziela i przygotowuje, ażeby roślina mogła się rozwinąć w najkorzystniejszych warunkach. Drugi wzgląd ma uważać żywienie się roślin, które mają z gruntu pobierać część pierwiastków do składu ich wchodzących, które to pierwiastki

albo ziemia dostaje i w łonie swojém przechowuje, albo zawiera jako części do składu jéj wchodzące. Nie możemy przyznać sobie dokładnéj znajomości gruntów, bez ścisłego zbadania i opisywania charakterów po których te rozmaite własności mogą być poznane. Potrzeba więc badać, jakiemi własnościami daje się poznać spojność (tenacité) gruntów, ich zdolność zatrzymywania wody i materyi w niéj rozpuszczonych, połykania i zatrzymania gazów atmosfery; jakim sposobem zachowują się względem ciepła słonecznego i ciepła rozproszonego; jakie jest ich promieniowanie—jakich przemian w ich łonie działaniami chemicznemi doznają materye do składu ziemi wchodzące i jakiéj są natury. Z rozwiązania tylko tych licznych i trudnych zagadnień, wyniknąć może rozwiązanie ostatecznego pytania, które sobie agrologja zadaje, to jest: dobranie (appropriation) i ocenienie (l'appreciation) gruntów. *Dobranie*, to jest, ścisłe wskazanie pod jaką uprawę są najzdolniejsze w klimacie danym; *ocenienie*, to jest stosunkowa ich wartość w rozmaitych okolicznościach klimatycznych i ekonomicznych, w jakich się znajdujemy."—

Daléj Gasparin objaśnia: że w agrologji przez niego wyłożonéj jeszcze nie doszedł do rozwiązania tych wielkich pytań, jakie sobie zadawano od czasu zajęcia się rolnictwem. Jakiekolwiek są postępy umiejętności, mówi on (k. 34.), dalecy jeszcze jesteśmy od uważania jéj za dosyć rozwiniętą, ażeby za jéj pomocą można było *a priori* oznaczyć wartość gruntu. My staraliśmy się wskazać drogę do osiągnienia tego rezultatu; lecz mylonoby się gdyby rozumiano żeśmy go osięgnęli."

Potrzeba jeszcze będzie długich badań, ażeby objaśnić wszystkie miejsca w naszych rozwiązaniach wątpliwe; i gdyby nawet wszystkie zasady agrologji były tak pewne, jak są w wielu punktach wątpliwe, bieg i komplikacja tych rozwiązań, wziętych w znaczeniu bezwzględném, wprowadzając do nich elementa klimatu, ostrzegałyby nas o niepewności wypadków rachuby, któraby mogła ważne błędy mieścić.—Nasze też próby do rozwiązania kwestyi, nie mają tak wysokiego zamiaru; polecając je jako przed-

miot więcéj do nauki niż praktyki, zamierzaliśmy dojść do wartości względnéj, lecz nie bezwarunkowéj i t. d.

Co więc myśleć o pretensyi niektórych autorów niemieckich i włoskich, którzy sądzili, że na danych teoretycznych, mogą opierać ważną operacyą cadastru mając szczególniéj na względzie małą liczbę odrębnych zasad używanych, i stan nauki w czasie gdy swe dzieła ogłaszali? Przez długi czas, podania znawców miejscowych, albo dane historyczne, o produktach gruntów w okolicy zebrane, będą miały więcéj wartości od tych rozwiązań; wszelako pojmujemy stan nauki, w którym jéj zasady przez doświadczenie kontrollowane i niém sprowadzone do stopnia pewności, któréj w naukach stosowanych nabywają tylko przez tę użyteczną krytykę—mogą nakoniec podać ścisłe rozwiązania. — Do takiéj to doskonałości idealnéj powinniśmy dążyć—i byłoby niezgodne z rozsądkiem, zaniedbywać uprawy saméj nauki, dla tego że jeszcze jest daleką od doskonałości. — Starajmy się poznać do jakiego stopnia doszła; łóżmy usiłowania ażeby nowe uczyniła postępy; lecz nie traćmy o niéj nadziei, i świeże jéj postępy niech będą pomyślną wróżbą przyszłości."

„Wreszcie, teraz już agrologja nie jest nauką bez zastosowania. Jeżeli jeszcze nie możemy rozwiązać jéj ostatecznego zagadnienia, ona może rzucać zbawienne światło na wielką liczbę przedmiotów, nad któremi praktyka waha się i dopiéro po długich i kosztownych doświadczeniach wyrzeka.—Już ona może podać jakie zasiewy są dla pewnych gruntów stosowne, i jakich spodziewać się należy wypadków. Uczy nas, jakiego rodzaju nawozu i dla jakich gruntów są stosowne; które wymagają wapna, popiołów, gipsu, kości proszkowanych, na ktorych użycie ich byłoby czystą stratą.—Ona dostarcza metod do obliczania sił potrzebnych do uprawy, i służy niejako za wstęp do zasad rolnictwa właściwego.—Nakoniec prowadzi do racyonalnej klassyfikacyi gruntów, dozwala nam sądzić i oceniać opisy operacyj rolniczych. Rolnicy, których praktyka zamknęła się w ciasnym obrębie ich okolicy, nie

znali téj konieczności. Oni znają gatunek swéj ziemi, przez zbiory z niéj otrzymane, przez prace na ich uprawę łożone; nakoniec przez skutki, które się na nich okazują wpływem pór roku i zmian atmosfery; mała liczba różnic wydatnych, wystarcza im do charakteryzowania gruntów któremi są otoczeni. Oni mają swoje grunta tęgie i lekkie; mokre lekkie; grunta pszenne i żytne.—Też same doświadczenia dają im poznać stosunkową wartość tych gruntów. Wejrzenie wszystko porównało i wszystko zastąpiło—i tym sposobem główne zagadnienia agrologji dla nich są rozwiązane. Lecz one są rozwiązane względnie dla małego obrębu, w którym ich obserwacye były zbierane.—Ludzie chcący poznawać naukę rolnictwa w całéj obszerności, mają inne potrzeby. Strudzeni empiryzmem, przez wszystkie sztuki wygnanym, który już nie może dla rolnictwa wystarczać; czują, że jeżeli przypadek niekiedy prowadzi do szczęśliwych wynalazków, nauka tylko sama ich doskonali, i całe im rozwinięcie daje—czują, że fenomena rolnicze mogą sobie wytłomaczyć, jedynie przez dokładne poznanie środka w którym się odbywają; przez nabycie sposobów porównywania z sobą nietylko zasiewów i ich wypadków, lecz i gruntów na których były zebrane; że dopóki rolnicy nie będą mieć wspólnego języka, którymby mogli swoje pojęcia i wyobrażenia wyrażać, każden z nich będzie musiał przestać na swém doświadczeniu indywidualném; że Jungowie, Schwerze, Lullin Chataurieux, Bürgery, podróżować będą z małą korzyścią, jeżeli ich opisy rolnicze nie będą mogły być ściśle z sobą porównywane, i opierać się na gruntownéj znajomości ziemi zwiedzanéj, któréj uprawę opisują.

Nauka więc agrologji nie tylko jest pożyteczną dla praktyki rolniczéj—ona zapowiada na przyszłość nowe postępy teoryi. Lecz ażeby osiągnąć cel, który sobie zamierzamy, nie będzie to zbytkiem używać wszystkich środków badania, których postępy umiejętności dostarczają. (Gasparin. Cours d'agriculture, k. 37.)."

Łaskawi czytelnicy Przeglądu raczą mi przebaczyć przytoczenie nieco dłuższego wyjątku z dzieła Gasparina; lecz powinienem był go uczynić, wywzajemniając się autorowi rozbioru, który mię przed sąd *Boussingault* powołał i z jego dzieła przytoczył miejsce, w którém mówi o próchnicy, i badaniu chemiczném gruntów. Wistocie, dla mnie było to mniéj potrzebnem, ponieważ dzieło *Boussingault'a* prawie codziennie mam w ręku; staram się poznać i rozważyć wszystkie jego pojęcia, i kiedym pisał uwagi o Rocznikach gosp. k., zdanie to *Boussingaulta* niezawodnie było mi wiadomem; lecz autorowi rozbioru winienem z méj strony polecić dzieło *Liebiga* i *Gasparina*, który w duchu postępów nauki, szczególniéj zwraca uwagę na badanie gruntów. Cały pierwszy tom swego dzieła poświęcił tak nazwanéj agrologji, w któréj pokazuje z ilu względów grunta mają być badane, ażeby o nich powziąć dokładne wyobrażenie i jasne pojęcie, z któregoby korzyści dla rolnictwa wypływać mogły.—*Gasparin* w dziele swojém obszernie mówi, o analizie chemicznéj gruntów. „Można bez wątpienia, są jego słowa, (k. 40.) poznać skład gruntu przez samo badanie luppą lub pod mikroskopem ziemi poprzednio odpławionéj. Rozróżniamy w niéj natenczas największą część minerałów pojedynczych, szczątki skał z których mięszaniny grunta powstały; badanie to w wielu przypadkach wystarcza dla ludzi przywykłych do widzenia i ocenienia gruntów, lecz niedokładnie wskazuje stosunki pierwiastków składowych. Nakoniec wiele materyi bardzo ważnych znajduje się w tak małéj ilości albo w tak ścisłem połączeniu, że nie mogą być dostrzeżone. Nie można więc mieć zupełnego wyobrażenia o ziemi, bez środka jakiego mineralogowie używają, to jest bez analizy chemicznéj.

Niedawno jeszcze wątpiono o ważności agrologicznéj, składowi mineralogicznemu gruntów przyznawanéj. Uważano, że pomimo ich różnicy, największa część roślin na nich uprawianych rośnie.

Lecz nie dostrzegano, że tylko sztucznemi i kosztownemi środkami mogą być do zupełnéj wegetacyi doprowadzone. Tak w gruntach krzemionkowych, pszenica i koniczyna pełnego wzrostu dochodzą za pomocą marglu i wapna. W gruntach nie mających siarczanu wapna,

otrzymywano dobre zbiory roślin strączkowych za pomocą gipsowania; odrostowi łąk koszonych należało pomagać popiołami, w miejscach w których brakowało potażu. Grunta wapienne często zawierają saletrany; glina i niedokwas żelaza utrwalają z atmosfery amoniak, i tym sposobem zaopatrują grunta w nawóz naturalny. Jeżeli nawozy zwierzęce w części uzupełniały te materye, to ztąd pochodzi, że je zawierały w stosunkach mniéj lub więcéj właściwych. Nie jest więc obojętnem poznać naprzód czy natura gruntu nie stawia rolnika w konieczności poniesienia mniej lub więcéj znacznych kosztów, z powodu braku niektórych z tych materyj, lub czy ich obecność nie uwalnia go od takich nakładów?

Ważność dobrych analiz stała się jeszcze widoczniejszą, gdy zaczęto usiłować, własności fizyczne gruntu z jego składem mineralnym łączyć, jakto starać się będziemy uczynić. Jeżeli glinka w pewnym stanie, zmienia w stosunku foremnym naturę roli, jéj tęgość, hydroskopowość, gdyby analiza chemiczna mogła przewidzieć i czyniła nadzieję że potrafi zastąpić badania fizyczne gruntu, o ile stałaby się dla rolnictwa korzystną? Każdy nowy postęp uczynił tę analizę coraz niezbędniejszą, a prace Saussura, Berthiego, Sprengla nad popiołami roślin, wskazując w nich prawie wszystkie pierwiastki gruntu, ścisłym węzłem połączyły, badania tych elementów i pierwiastków roślin; powinny nas znaglić do szukania jakch brakuje roślinom nędzniejącym, dla zapewnienia się czy ich nie brakuje w gruncie, i czy nie należy się starać niemi go zaopatrzyć. Cała teorya nawozów, opiera się na téj podwójnéj zasadzie. To wystarcza do przekonania się, że nie należy zaniedbywać badania pierwiastków składowych gruntu." (k. 42.).

Przytoczone tu zdania *Gasparina* dostatecznie dowodzą jak konieczną jest potrzeba badania chemicznego gruntów; że nie można poprzestać (jak Roczniki twierdzą) na samém prostém płókaniu, dla oznaczenia stosunku piasku do gliny, które daleko więcéj ma mówić niż najściślejsza analiza chemiczna. (Roczniki g. k., k. 154.). Grunta z natury swego pochodzenia mogą być mieszaniną, w składzie swoim nad-

zwyczaj różnorodną, i pod jednakowém wejrzeniem mogą się mieścić pierwiastki odmienne; w ziemiach zaś na pozór różnych mogą zamykać się też same części składowe. Ta różnorodność gruntów pociąga za sobą konieczną potrzebę ich badania. Gdyby wszystkie gatunki np. gliny miały stale jednakowe przymioty i jednakowe pierwiastki, analiza ich byłaby niepotrzebną, tak jak nie potrzebujemy dochodzić składu minerałów pojedynczych, skoro ich pierwiastki już raz są poznane. Lecz rolnicy nie są w tak dogodném położeniu; dla tego dziwi mię mocno gdy autor rozbioru stara się obszernie dowodzić, że klassyfikacya gruntów na uprawie zbóż oparta, powinna mieć pierwszeństwo przed innemi, to jest należy grunta dzielić na pszenne, żytne, jęczmienne i t. d. (156). Nie widzę powodów dla czego rolnicy nie dodają jeszcze gruntów kartoflowych, rzepakowych, prosowych, tatarkowych etc., gdy i te rodzaje płodów są niekiedy ważną gałęzią gospodarstwa rolnego. W istocie, klassyfikacya na zasiewach oparta, byłaby potrzebną, gdyby na gruncie pszennym nie mogło rosnąć żyto, na jęczmiennym pszenica—owies i t. d., lecz gdy stan mechanicznéj uprawy, własności fizyczne i użycie nawozów zmieniają zdolność ziemi do wydawania pewnych plonów, takiego więc rodzaju klassyfikacya nie jest żadnym podziałem naukowym, a przynajmniéj żadnéj korzyści naukowéj i praktycznéj nie przynosi. Gdy na gruncie zasiana pszenica zginie, rolnik się przekona, że ten grunt nie jest pszennym. Lecz taka praktyka nie byłaby dla rolnictwa i ziemian korzystną.— Wreszcie, klassyfikacya o któréj mowa, nie daje żadnego pojęcia o naturze gruntu, i jeżeli rolnik na gruncie jęczmiennym przez błąd lub z potrzeby zasieje owies, już tém samém klassa jego się zmienia.— Thaer używa tego podziału i zarazem do każdéj klassyfikacyi gruntu dołącza analizy chemiczne, które w jego pojęciu ściśle się łączą z własnościami rolniczemi, gruntom przyznawanemi. Analizy Thaera są tylko prostém spławieniem, po działaniu kwasu dla zabrania wapna; i według wypadków téj operacyi, podał on tablicę względnéj wartości gruntów, i przeznaczył dla nich rodzaj zasiewu najstosowniejszy. Wypadki analizy mechanicznéj Thaera i Einhofa służyły za podstawę klassyfikacyi praktycznéj gruntów.—Według nich grunt gliniasty zawiera zwykle 40% piasku, jeżeli jest w mniejszym stosunku, zbiory

już są niepewne, i grunt staje się tak tęgim, że uprawa jest zbyt kosztowną. Taki grunt gliniasty zawierając humus w ilości dostatecznéj i stosownie nawożony, musi być uważany za dosyć dobry grunt pszenny. Gdy piasek zmniejsza się do 30% jęczmień lepiéj się na nim udaje. Poniżéj téj ilości, grunt przechodzi w owsiany. Można jeszcze uprawiać pszenicę na gruntach zawierających od 40—50% piasku, lecz przechodząc tę granicę, w gruntach od 50%—60% piasku zawierających, korzystniéj jęczmień uprawiać. Grunt ten nie rozpulchnia się przez powtarzane oranie, co następuje z gruntem bogatszym w krzemionkę; nie twardnieje przez susze jak grunta gliniaste, ponieważ jeszcze zawiera dosyć wilgoci. Zdatnym jest dla koniczyny, bulw, korzeni mięsistych i roślin handlowych—tytuniu, kolzy, lnu i t. d. Jest prawie zawsze dostępny, co pozwala z największą starannością obrabiać poczynione na nim zasiewy.

W gruntach dających w pławieniu 60—80% piasku, pszenica jest niepewną; przy 70% piasku jest pod nią niezdatny, wyjąwszy szczególne ostrożności, lecz zdatny jest pod jęczmień, a nadewszystko żyto najlepiéj się na nim udaje. Grunt z tym zapasem piasku, zawsze jest łatwym do uprawy, chociaż na nim rozkrzewiają się chwasty łatwiéj niż na gruncie gliniastym. Nawozy prędko na nim nikną, dla tego potrzeba je gnoić często, lecz mniéj obficie. Grunt zawierający 75% piasku, Thaer uważa za grunt owsiany i zdatny jest pod uprawę tegoż zboża nawet przy ilości 85% piasku; gdy przechodzi tę granicę należy na nim zasiewać żyto i tatarkę; jeżeli otrzymał dostateczną ilość nawozu. Częste oranie, które musi być powtarzane dla zniszczania chwastów, łatwo się puszczających, może go uczynić tak sypkim, że i żyto się nie udaje. Najlepiéj w tym razie dla stężenia, zostawić go w spoczynku zapuszczając na pastwisko. Grunta zawierające 90% piasku, trudno z korzyścią uprawiać, przynajmniéj w klimacie naszym, (Boussingault, k. 614. T. I.); w czasie suchym jest to prawdziwy grunt ruchomy.

Wiadomości tu przytoczone, bez wątpienia żadnemu rolnikowi nie są obce; pochodzą one jeszcze od czasów Thaera; przytoczyłem je dla tego, ażebyśmy się przekonali, że klassyfikacja według jego zasad nie

podaje pojęcia o gruntach oznaczonego.—Thaer uważał, że sama glina i sam piasek wydają grunta zupełnie płonne, że w pewnych stosunkach z sobą pomieszane, wydają wielorakie pośrednie stopnie, do uprawy rozmaitych roślin stosowne. Z téj zasady wychodząc sądził, że analiza mechaniczna, proste oddzielenie części miałkich i grubych, dać może wyobrażenie o klassie, o stopniu dobroci ziemi. Lecz Thaer nie dostrzegł, że część najdelikatniejsza, dająca się odpławić, którą za glinę uważał, może powstać z krzemionki nadzwyczaj podzielonéj, która zupełnie inne własności gruntowi nadaje. *Bürger* okazał ile zasada *Thaera* może do błędnych wniosków prowadzić. Podał on za przykład dwa grunta, które według metody *Thaera* dały wypadki:

	ziemia A.		*B.*
1. Części w wodzie rozpuszczalnych . .	0,001	—	0,000.
2. Części palnych	0,661	—	0,069.
3. Części ziemnych miałkich	0,178	—	0,192.
4. Piasku delikatnego	0,071	—	0,216.
5. Grubego piasku i żwiru	0,681	—	0,523.

Uważając ten skład dostrzegamy: że summa części 2 i 3 w ziemi A, wynosi 249; w ziemi B=408; rozumianoby więc, że ziemia B jest więcéj tęgą, mniej lekką, jednakże dzieje się zupełnie przeciwnie: A. tworzy bryły twarde, B. łatwo się rozsypuje. Według Thaera, A. należałaby do dobrych gruntów owsianych, B. do gruntu jęczmiennego drugiéj klassy; tymczasem A. jest ziemią nadzwyczaj żyzną i dobrą pod pszenicę i kukuryzę, B. jest nadzwyczaj chuda i zupełnie płonna. Przykład ten okazuje jak mało ufać należy klassyfikacyi według natury zasiewów i stosunku części miałkich do grubych, jeżeli ją opieramy na jednym charakterze nie mając względu na ogół własności, których dobra wegetacya roślin wymaga. Kto za wzrostem umiejętności postępuje, nie będzie popierał użyteczności takiego podziału. Dzisiaj nie ma już wątpliwości, że ziemia najważniejszy ma udział w wegetacyi; jéj pierwiastki znajdujemy w popiołach; one tworzą tak konieczną część w indywidualności roślin, że gdy brakuje ziemi pierwiastków, których roślina potrzebuje, wegetacya okazuje się słabą, niezupełną, albo całkowicie ginie. *(Dok. n.)*

POGANKA.

(Dalszy ciąg.) *)

Domawiając tych słów urągliwych, Aspazya wstała, a na jéj miejsce dwóch chłopczyków zbliżyło się do mnie. Byli to ci sami, którzy mi w przebraniu mojém pomagali. Uśmiech dowcipu i wesołości dziecinne ich twarze ożywił. Zasiedli sobie jeden po jednéj, drugi po drugiéj stronie mojéj; wychylili się przedemnie; i patrzyli mi w oczy ciekawie a złośliwie jak dwaj studenci przed spłataniem niespodziewanego figla, albo jak dwa chochliki zdmuchujące młodéj dziewczynie wszystkie pobożne wyrazy z kartek otworzonéj do pacierza książki.

— Otoż kiedy pani Aspazya chce tego, rzekł starszy nakoniec, zaśpiewam ci góralu, ale szkoda że nie zrozumiesz méj pieśni, gdyż ja z natchnienia śpiewam po włosku jedynie—to język mojéj natury, to ojczysta najmilsza mowa moja.

— Niech cię nie wstrzymuje tak mała przeszkoda braciszku, odezwał się młodszy, będę tłomaczył wiernie według myśli i ducha wszystkie *stanze* twej improwizacyi.

— A czy słuchacz zgodzi się na to?

— Słuchacz zgodzi się na to wszystko.—Czy widzisz jak mętném i zadziwioném okiem spogląda w około. Ludzie do zadziwienia skłonni, nie sprzeciwiają się nigdy i nikomu; śpiewaj więc, śpiewaj śmiało, a z ogniem i natchnieniem.!

— Dobrze, braciszku! wyświadczę ci tęż samą przysługę, i tłomaczyć będę pieśń twoję, chociaż z méj strony jest to nierównie większém poświęceniem, nierównie trudniejszą pracą. Ciebie tak często zrozumiéć nie można.

*) Zob. Nr. 26 Przegl. Nauk.

— O niegodziwy chłopcze!.. bracie Kainie.

— Zwolna, zwolna łagodny Ablu, to ma znaczyć tylko, że twój język mniéj znany, mniéj ludziom przystępny.—Niech sam Benjamin osądzi,— i zwracając się ku mnie—mój brat, rzecze on, w starożytnéj celtyckiéj mowie improwizuje zawsze—chcąc tę mowę bajeczną i umarłą przełożyć na wyrazy zrozumiałe dla dzisiejszych, dla góralskich uszu, wszakże stokroć większego wysilenia trzeba, niż kiedy idzie o dowolne prawie objaśnienie żywego narzecza.

— Zobaczymy, zobaczymy; ja cię przestrzegam tylko, synie Jakubów, miéj się na ostrożności gdy mój brat śpiewać zacznie, bo chociaż to najlepsze, najniewinniejsze, najczystsze dziecko ze wszystkich dzieci, które dotychczas przed skończeniem piętnastego roku życia swojego pomarły, ma jednak lekką skłonność do kłamstwa, zbytków, rozpusty, pijaństwa i mordów.—Aspazya, która nam losu według zdolności dobiera, przyrzekła mu bardzo świetny zawód... w najgorszym razie tron wielkiego Mogoła przynajmniéj.— Strzeż się więc, strzeż, kiedy śpiewać zacznie.

— A ja ci mówię, strzeż się brata mego gdy śpiewać nie skończy, bo chociaż on dowcipniejszy, mędrszy, poważniejszy niż wszystkie szczury, które się kiedykolwiek dyplomatycznemi papierami japońskich i chińskich mandarynów utuczyły, lecz jest przytém trochę dobroduszny, ślamazarny, romansowy, nerwy ma zdrażnione, mózg użyciem opjum wzburzony, niektóre władze umysłu przytępione już, niektóre władze ciała nie zbudzone jeszcze—słowem powiadam ci, że Aspazya która nam losu według zdolności dobiera, dla niego nie znalazła nic— radzi mu jednak wszystko stawić na kartę i pojechać do Niemiec, tam jedynie może się brat mój na przyzwoitego wykierowac człowieka, objąć katedrę filozofii, albo się zapić piwem bawarskiém.

— Długo jeszcze słowa téj sprzeczki, tych żartów pustackich krzyżowały się przedemną niby race kongrewskie dwóch dziwacznych fajerwerków—chłopcy mówiły tak prędko, że nie miałam czasu nawet spytać ich się: —kto wy jesteście? – czego chcecie odemnie?—Nareszcie młodszy wyprostował się i umilkł, a starszy poprawił aksamitnego kołpaczka, kilka razy ręką przetarł czoło, zasłuchał się na chwi-

lę w stłumionéj, lecz rozkosznie do koła brzmiącéj muzyce, i uderzając się w piersi:

—Ja jestem śpiewak prawdy! zawołał—a to niewierny tłumacz mój, przydał wskazując na brata—i zaczął nareszcie improwizację swoję, lecz mimo danego ostrzeżenia, zaczął ją po polsku, czystym i do taktu dzielonym głosem:

Biedne było serce moje,
Gdy bez echa w pierś samotną
Uderzało przepełnione
Niepojętych pragnień krwią.

Wtedy wszędzie na tym świecie,
Na tym świecie tak szalonym,
Tak djabelsko wyzłoconym,
Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota,
To się zawsze dojmiesz złota;
Na tym naszym pięknym świecie,
Tym jedynym, ukochanym,
Szachrującym, oszukanym,
Rozśmieszonym, rozpłakanym,
Całującym, wojującym,
Hulającym, stękającym.....
No, czyż wiarę dać możecie:
Jam się nudził na tym świecie.

Z moich książek i kajetów,
Z wonnych kwiatów, świeżych łąk,
Z łysin moich Professorów,
Z srebrnych chmurek na błękicie,
Nawet z szklanki i z talerza,
Nawet z grzywy klaczki méj—
Wszędzie, wszędzie przed mém okiem
Wychylała się straszliwa,
Żółta, blada, obrzydliwa,
Ziewająca, głupia, stara
Ta choroba—ta poczwara,
Co się... co się nudą zwie!...

I niechciało mi się jeść,
I nie chciało na koń sieść—
I nie chciało z śmiesznych śmiać,

I nie chciało mi się pić,
I nie chciało mi się żyć:
Tylko mi się chciało spać.

O spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy,
Gdyby w ludzkiéj było mocy,
Ja na całe lata, wieki,
Byłbym zamknąć chciał powieki—
Bo gdym zamknął—Ach to cuda,
Czyż wyśpiewać mi się uda:
Com ja widział, roił, śnił,
Kim ja byłem, gdziem ja był?

Ach to cuda!—Lecz na jawie,
Choć to wszystko trwało prawie,
Chociaż czułem, że mi płoną
Lice, usta, piersi, łono
Od całunków, od pieszczoty—
Choć jedwabnych włosów sploty,
I dłoń miękką, ciepłą, małą,
Pod którą mi serce drżało,
Ja tak czułem jak w dotknięciu,
Ja tak miałem jak w ujęciu....
Przecież... przecież... O przekleństwo!
O szyderstwo! o męczeństwo!
Taką roskosz, szczęście śnić—
A być głupim—dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem
Nazwać tego, a szalałem;
Łzy po twarzy nieraz ciekły,
Nieraz palce gryzłem wściekły,
O mur głowę rozbijałem,
Albo ręce wyciągałem,
By ta postać niedojrzana,
Niepojęta, nie nazwana,
Ach! ta postać by wcielona
Sama zbiegła w me ramiona—
By pierzchliwych marzeń rój
Padł nakoniec, widny, żywy,
Skształtowany i prawdziwy—
W namiętny uścisk mój!

Teraz dosyć już przeżyłem
W niepokoju długich nocy—
I w tęschnocie długich dni—
Teraz ja wiem jak się zowi
Każde serca uderzenie,
Każda moja gorzka łza.—
Teraz ja wiem jak się zowią,
Senne marzeń mych widziadła,
I czczość młodych moich lat—
Czém są dłonie wyciągnięte,
Czém westchnienia pierś wznoszące,
Czém są usta pałające,
Czém są tętna krwią bijące
I czém życia cudna pieśń....

O ja wiem, ja znam, ja śpiewam,
Ja dziś wołam i nazywam—
Kobietą! kobietą! kobietą!

Pójdź kobieto piękna, moja,
Wymarzona, wyczekana,
Wypragniona, wywołana,
Do mnie! do mnie pójdź!

O ja kocham cię kobieto!
Kocham ciemne twoje oczy,
Kocham połysk twych warkoczy,
Kocham wzniosłe czoło twe!—

Kocham ślad twej drobnéj stopy,
Kocham głosu twego dźwięki,
Kocham białość twojéj ręki,
Kocham tchnienie twoich ust.—

Kocham jedwab twojéj szaty,
Kocham spinkę która świéci,
U przepaski twéj kibici,
Kocham perły z szyi twéj.—

Blask djamentów na twéj skroni,
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje,
Gazę, coć on z piersi zwieje,
Twéj postaci kocham cień.

Piękna moja! luba moja!
Do mnie, do mnie pójdź kobieto:
Ja kochankiem, ja poetą,
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź!

Daj mi rękę luba moja!

Przez świat idźmy! niech się dziwi,
Jak my młodzi i szczęśliwi,
Jaką piękną ty!
Przez świat idźmy! niech zazdrości
Mnie twych pieszczot, twéj miłości,
Tobie pieśni méj.—

Ale strzeż się—oh przez Boga!
Niech ja ciebie moja droga,
Nie zazdroszczę mu!

Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,
Że twój uśmiech, że westchnienie
Wziąśćby mi kto mógł—
To mi tak coś w oczach błyska,
To mi tak coś ręka ściska,
Jak ogień—jak miecz.—
Zaraz czuję, że twarz blada;
Zaraz widzę że trup pada,
A choć nie wiem czyj,
Mnie tak zimno wkoło serca,
Jakby trup ów lub morderca,
Moje piersi miał.—
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,
Jakbyś ty nie była ze mną
A był przy mnie grób.—

O ja nie chcę takich myśli,
O ja nie chcę cierpień takich,
Zawrót głowy mam.—
Precz, precz z niemi do szatana;
Ty mię kochasz, tyś kochana;
Z drogi, z drogi nam!

Jesteś moją—jam szczęśliwy—
Hej muzyka! tańce! śpiewy!
Hej kielichy i puhary!
Szampan, Porto, węgrzyn stary,
Niech zaszumią, niech popłyną!
Pijmy rozkosz—pijmy wino—
Bo czas biegnie a śmierć goni,
A czy będzie tam co po niéj—

O to starych mnichów pytać!
Nam dziś tylko życie chwytać;
Nam dziś szaléć i ucztować;
Nam dziś pieścić i całować—
A kto chwilkę choć zmarnuje,
Wszystkich sił nie wycałuje:
Wszystkich beczek nie wytoczy,
Kto na wieki zamknie oczy,
Kiedy jeszcze mu zostanie
Niedopita kropla w dzbanie,
Albo z jego własnéj winy,
Jeden uścisk u dziewczyny,
Jedna w sercu jeszcze chęć.....
Temu hańba! tego właśnie
Niechaj jasny piorun trzaśnie,
Niechaj porwie djabłów pięć!!!

Głośny wybuch śmiechu zakończył niby punktem to piekielne marnotrawstwo dowcipu i talentu.—Chciałem się znowu odezwać, lecz mnie uprzedził młodszy chłopczyk ciągle dotychczas bez ruchu jak porcelanowa figurka po prawéj stronie mojéj siedzący.

— A teraz szanowny słuchaczu, rzekł do mnie, zechciéj to wszystko w prostéj mowie przyjąć od pokornego tłumacza.

— Śpiewak o ile się zdaje, niedorostek jeszcze, ale krwistego temperamentu, powiada że go już wszystko nudzić zaczynało—nie śmiał się nawet z łysin swoich nauczycieli, co znaczy, że pierwszy musiał z nich często nieprzyzwoite stroić żarty, a więc był złym jak ossa, jak źmija która przy piersi rozgrzana i t. d.

Śpiewak stracił apetyt i pić już nie lubił—co uważa za największe nieszczęście swoje, a więc dowodzi, iż był łakomy, niewstrzemięźliwy i do grzechu głównego obżarstwa skłonny.

— Śpiewak opowiada potém sny swoje i marzenia, które są największém poparciem tego zdania: iż nieświadomość a niewinność wielce się różnią.

Śpiewak oświadcza wreszcie, iż nawet nieświadomość ową już postradał zupełnie—dziś kocha jakąś kobietę co ma ciemne oczy, białe ręce i małe nogi, a która musi być dosyć bogatą, gdyż się stroi porządnie w perły, jedwabie, gazy, dijamenty.

— Śpiewak chce żeby mu jéj zazdrościli wszyscy, lecz żeby on jéj nie zazdrościł nikomu—bo o ile mogłem z trochę ciemnéj groźby zrozumiéć, ma trochę tureckie w tym względzie pojęcia—ogniem i mieczem straszy, zlekka nawet o grobie kochanki nadmienia—z pewnością jednak nie powiada, czy ją, czy siebie, czy kogo innego zabije, lecz mnie się zdaje że swoją osobę właściwie pod największą wątpliwością zostawia.

— Następnie wszystkie te czarne myśli, spędza śpiewak jak naprzykrzone muchy z nosa—radzi pić wino, całować dziewczęta póki tylko życia stanie i kończy tém bardzo dobitném wyrażeniem, by każdego co inaczéj postępuje jasny piorun trzasł i pięć djabłów porwało—nie wiem dla czego pięć?—ażali to jest rym tylko lub też kabalistyczna liczba, lub też ilość ilości zmysłów odpowiednia.

Krótkie te zdania śpiewaka, ozdobione są pasażami, forszlagami, fioriturami i tysiącznémi naddatkami, z których to jedynie wycisnąć można, że pieśń gorączką—a jéj śpiewak łotrem.

— Teraz niechaj mnie łaskawe twoje uszy posłuchają—no! uważaj tłumaczu—i w tejże chwili zmiana ról nastąpiła.—Mój sąsiad z lewego boku, który przez cały ciąg tłómaczenia najniespokojniejszymi ruchami oburzenie swoje objawiał, nagle przycichł i znieruchomiał, a brat jego wdzięcznym głosem tak pieśń swoją zaczął.—

— Przepraszam was moi państwo, muszę się trochę namyślić—tej pieśni zapomniałem; czekajcie chwilę maleńką—ot już ją mam—tak! to ona właśnie......

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata,
Po-nad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane.
Promieniem Bożéj myśli rozjaśnione,
I tchnieniem Bożéj miłości ogrzane.—
A jam się pytał: gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała:

I rzekła tylko—tam synku maleńki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.—
O prawdę, prawdę matka powiedziała,
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I spokój serca i myśli tam w niebie,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.—
Miłość kobiéty—to świętość i cnota,
Szczęście i siła—mądrość i natchnienie;
Miłość kobiety—to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na téj ziemi wita!—
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowle w głodne usta chwyta.
To pieśń twéj matki, którą ci klęcząca
Przy twéj kolebce na uśpienie nuci;—
Miłość kobiety—to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, które Bóg ci daje
Na długą podróż przez nieznane kraje,
Po ślizgich ścieszkach złych i dobrych losów.—
Miłość kobiety—to z twą siostrą młodą
Wspólne marzenia i długie rozmowy
O twéj przyszłości, o zamiarach twoich,
O téj nadziei młodzieńczego serca,
Co ci spełnienie pięknych czynów wróży,
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie.
Miłość kobiety—to ręka podana
W chwili złych myśli i pokus szatana;
To wzięte wszystkie z głębi twojéj duszy
Chęci szalone, żądze niespokojne,
Namiętności nasienia zdradliwe,
I pierwéj nim się w truciznę rozplenią,
Nim święty serca skalają przybytek,
Nim przejmą czysty ducha twego promień—
Pierwéj, chryzmatem uczucia święcone
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.—
Miłość kobiety—to nagroda twoja
Przy trudnéj pracy męzkiego zawodu,
To przy rodzinném ognisku kapłanka,

Błogich dni życia i uciech domowych;
To głos radości co na progu wita
Wracającego z pośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoją
Okrąży słodkiéj pieszczoty objęciem
Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz,
Że jeszcze takie serca są na świecie,
Które ci żywszem biciem odpowiedzą,
Gdy ręka twoja do nich zakołata,
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata,—
To są te usta coć powiedzą wtedy:
„Przebacz i kochaj, bo jesteś kochany."
To jest ta losu niemylność jedyna,
Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,
Gdy ty sam nawet skłucisz się z sumieniem,
Ona ci jedna zostanie i zawsze
Przychylne dłonie ku tobie wyciągnie,
I przed niechęcią ona cię otuli
W śnieżysty rąbek swéj szaty niewinnéj,
I przed zgryzotą ona cię osłoni
Własnego serca boleścią i łzami,
I przed występkiem ona cię obroni
Swoją świętością i swemi prośbami.
Ty ku niej idąc złe drogi porzucisz,
Ty za nią idąc, znów do nieba wrócisz.—
Miłość kobiety!—o ja z darów bożych
Niech sobie tylko ten jeden uproszę—
Ja będę wielki, cnotliwy i święty,
Samolubnego zrzeknę się starania
O własne zyski i własne roskosze,
Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,
I wiele złego bez szemrania zniosę,
Pobłogosławię tym co kląć mi będą,
Uścisnę rękę, która cios mi zada,
Otrę łzę każdą lub razem zapłaczę
Z każdym, kto innéj nie chce mieć pociechy,
Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,
Zapomnę siebie—lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta........

— Ta ta ta ta!—dość tego braciszku, przerwał nagle zamówiony tłumacz, dość tego, bo ja zapomnę i Benijamin odjedzie, nie wiedząc nawet co mu tak długo nad uchem brzęczało—to zaś jest w najprawdziwszém znaczeniu rzecz taka:

Mój najckliwszy braciszek słyszał od mamy, że kobieta która kocha, jest aniołkiem, rozpamiętywa te piękne słowa i wypada mu że wistocie, ponieważ bardzo jest wygodnie mieć najpierw mamkę, potém niańkę, potém siostrę która wierzy wszystkim przechwałkom, potém żonę która zawsze potakuje, całuje, zapewne jeść gotuje i skarpetki robi—a więc kobieta jest aniołkiem, a więc jegomość przyrzeka nawet, że będzie bardzo grzecznym jeźli takiego aniołka dostanie, a wszystko razem wzięte przewielebny słuchaczu, wszystko razem—i niucha tabaki nie warto. Jest to sobie nędzna, a nieszczera parodja tego co pierwéj wręcz powiedziałem—ja mówiłem: „chcę kobiety”— on też mówi: „chcę kobiety”—ja mówiłem: „chcę kobiety żeby mi szczęście dała” —on też mówi: „chcę kobiety żeby mi szczęście dała”—za panią matką pacierz—młynkował pod wiatr językiem ale zawsze toż samo ziarno—żal mi ciebie że przy pierwszych odwiedzinach musiałeś tak długo tych wszystkich bredni słuchać.—W nagrodę powiem ci ich króciuteńki summaryusz—powiem ci czém jest ludzkie przeznaczenie.—Jest szaradą, któréj się od prawdziwych mędrców nauczyłem—ale mój drogi, zaklinam cię na wszystko, nie zdradzaj mnie przed prawnikami, autorami, reformatorami, hipokrytami, głupcami i poczciwémi ludźmi.—Oto jest: pierwsze życie—druga śmierć, a wszystko razem,—używaj, używaj, używaj!.. Na ostatni wyraz oba malce zachychotały głośno.

— Więc i ty się śmiejesz, rzekłem do młodszego za rękę go biorąc.

— O ja najbardziéj, cisnął mi wesoło i skłoniwszy się prędko uciekł wraz z bratem swoim—mnie wtedy okropny smutek ogarnął, spuściłem oczy, bo czułem że mi się łzami napełniają, a nie chciałem dać łez moich na pośmiewisko tym ludziom bez serca.—Żywą sprzecznością stanął mi w pamięci nasz ubogi rodzinny domek i przesunęły wszystkich moich ukochanych postacie.—Żal mi się zrobiło téj dumnéj, pięknéj kobiety, którą ja byłbym przed chwilą nad świętą matkę moję, nad wszystkie siostry moje ubóstwił.—Żal mi się jéj zrobiło, bo czułem już jak to można nie kochać jéj, a kiedy ja nie kochałem,

to któż ją mógł kochać?—i zdjęła mnie wielka litość, i wzniosłszy powieki długo wśród tłumu szukałem jéj spójrzeniem, aż nakoniec zdala siedzącéj dostrzegłem.—Nie patrzyła na mnie—jakiś mężczyzna mówił do niéj, ona słuchała, i bawiła się niedbale zwojami białéj gazy, co jéj niby obłok przejrzysty, od djamentowéj przepaski na głowie po ramionach i całéj spadała kibici.—Była ona tak piękną, tak spokojną, tak uważną na to co jéj prawił ów mężczyzna za patricyusza rzymskiego przebrany, jak gdyby to nie ona przed chwilą odezwała się bluźnierczemi słowy, jak gdyby nie ona drażniła ze mną pieśniami swych paziów. — Zapomnienie maską niewinności przylgnęło do jéj twarzy.—

Nie mogłem na ten widok oburzenia mego powściągnąć—wstałem, poszedłem, tuż przy niéj stanąłem.

— „Żegnaj pani, odezwałem się"; — lecz ona niecierpliwie brwi zmarszczyła i znak milczenia mi dała.

A więc, pomyślałem sobie, nie witana, nie żegnana, zostań tutaj w zbytkach twoich—między mną a tobą na wieki wieków niepamięć zapadnie—i chciałem odejść,—lecz ona jakby zgadując zamiar mój, nie odwróciwszy się, nie spójrzawszy nawet, wzięła mnie za rękę, a młody patricyusz tymczasem rozwijał jéj w naukowych wyrażeniach architektoniczne plany względem podźwignięcia i zastosowania do użytku, lub ozdoby wszystkich ruin wiecznego miasta, a ona podawała mu nowe pomysły, chwaliła, poprawiała go, jak najbieglejsza w téj sztuce mistrzyni, a ja dziwiłem się trafności sądu i gruntowności jéj nauki.

— Czegóż chciałeś moje dziecko?—zapytała mnie wreszcie zupełnie niespodzianie wtedy gdy mi się zdawało, że już ani myśli o mnie i że przez zapomnienie tylko dłoni mojéj nie wypuszcza.

— Przyszedłem pożegnać panią, odpowiedziałem, ale trochę mniéj pewnym głosem i bez oburzenia żadnego.

— Jakto, pożegnać? czy słońce już zbyt jasno świeci, a moje lampy zbyt ciemno już płoną?

— O nie, pani, słońce jeszcze nie wstało, a wonna lamp twoich oliwa czystém światłem goreje, ale ja cię pożegnać przyszedłem, bo mi tu nie dobrze, bo mi gorzko, smutno, duszno.

— Przyznaj się, że ci musiały moje małe szatanki dokuczyć.

— Prawda pani, dokuczyły okropnie, okropnie!—

— To cóż? alboż ty słabszy od nich? czemu się nie zemściłeś? mogłeś ich wybić, odpędzić od siebie, albo też im nawzajem moralną piosnkę zaśpiewać.—Ja sama byłabym jéj słuchała, bo już tamte znam, a twojéj ciekawą jestem.

— Nie pani, jabym tu nigdy nie zaśpiewał żadnéj piosnki mojéj, nie wymówiłbym żadnego słowa, ze słów uczuciu święconych.

— A to dla czego? przez nieśmiałość, dumę, lękliwość, wzgardę czy nieufność?

— Przez pobożność jedynie, żeby relikwija mego serca nie przywiodła do nowego grzechu ludzi co szydzić i bluźnić umieją.

— Więc to jak widzę do prawdy między wami od żartu aż do gniewu przyszło—no, uspokój się, zawołam ja marszałka dworu i każę temu starszemu lucyperkowi dać rózgą, bo zapewne on musiał cię w zły humor wprowadzić, ostre ma zęby, a jak niemi kąsać zacznie to aż żywéj żółci dojmie czasem.... héj panie Sewerjuszu!...

— O przez litość nie żartuj tak pani.

— Ależ ja nie żartuję—ja się zupełnie, szczerze, prawdziwie bawię.

— To nie baw się pani mną—i chciałem rękę wysunąć, lecz mi ją silniéj jeszcze jéj drobne palce ścisnęły.

— Słuchaj Benijaminie, rzekła mi ze swoim czarodziejskim półuśmiechem na twarzy—prześlicznie konno jeździsz, piękny jesteś jak przypomnienie dawnych czasów, kiedy się natura nie zubożyła jeszcze, kiedy musiało być mniéj ludzi na świecie i kiedy każdy człowiek był zbiorem nowych pierwiastków siły, wdzięku i szczęśliwości, któremi się późniéj rozdrobnieni jego następcy dzielić musieli, jak dzieli trupem wylęgłe z niego robactwo—piękny jesteś, sama ci to przyznaję, ale nie gniewaj się—ale.... bardzo nudny także.

— Nie gniewam się i nie dziwię—pani tylko gniewać i dziwić możesz, bo nie wiesz kogo w progi swoje przyjęłaś. Ten ubiór co ci się wydaje zapewne chwilową igraszką upodobania, jest właśnie jedyny, w którym stanąć przed tobą bez oszukaństwa mogłem.—Góralem jestem—biednym ubogim chłopcem—źle mi wśród was, źle i wam być musi, z przybyszem co ani pojąć, ani uznać nie chce téj saturnalii

uczuć, rozumu, bogactwa—tych zbytków marnujących naturę i człowieczeństwo.—Żegnaj, żegnaj pani na zawsze, widziałem obok ciebie nagromadzone wschodnich powieści przepychy, widziałem tłumy strojnych i wesołych ludzi, widziałem starców piętnastoletnich co dla zabawy i wyśmiania twych gości przerzucali sobie w najohydniejszych myślach i w najświętszych wyrażeniach jak w cackach do zepsucia przeznaczonych, jak w wyrzuconych na świecie klejnotach. Widziałem ciebie pani tak cudną i zachwycającą, że w pierwszych chwilach upiłem się blaskiem twojego oblicza i myślałem już że tobie Aspazyja na imie —ale widziałem ciebie kobietą, bogatą tylko, ucztującą, mądrą, dowcipną, szyderczą i dla tego odchodzę—i odchodząc skarżę cię pani przed sumieniem twojém, bo mogłaś być hojniejszą dla spotkanego na swéj drodze prostaczka, mogłaś mu zostawić objawienie swoje do najgorętszéj życia modlitwy, mogłaś mu sprawdzić choć na chwilę przyobiecany jego nadziejom ideał, los dał ci wszelką ku temu sposobność, ale ty pani skarby złota cisnęłaś na huczne biesiady—skarby umysłu na gawędki płonne, a piękność twoję stawiłaś na zadziwienie tylko, więc też zbłąkany góral opuści twój zamek bez jałmużny dobrego wspomnienia nawet, zstrząśnie pył z obuwia swojego i tylko opowiadając kiedy tę nocną przygodę rodzeństwu albo towarzyszom swoim—nazwie cię pani „ta obca kobieta.”

— Mylisz się Benijaminie—nazwie mię zawsze—„ta piękna kobieta” i wróci, o wróci do mnie.....

Jéj głos był śpiewem—pocałunkiem—zaklęciem, a jednak puściła rękę moję—zapewne chciała siły uroku probować—ja się przed nią w milczeniu skłoniłem i wolnym krokiem odeszłem—przy samym progu raz tylko spojrzałem na nią jeszcze—siedziała nieruchoma, zamyślona, bez uśmiechu ale i bez smutku—jéj oczy szły niby za mną, ale jéj oczy nie wołały mnie—piękny posąg—mistrzowska rzeźba w marmurze,—spuściłem więc kosztowną podwoi zasłonę, a tylko było mi smutno jak po pierwszéj w życiu omyłce. Z pośpiechem przebrałem się, podano mi mego konia, dosiadłem go i pędziłem ku domowi, we mgle porannéj kąpane czoło coraz bardziéj chłodło z nocnych zjawisk i wrażeń.—Wstydź się, wstydź się szaleńcze, mówiłem sam do siebie, wstydź się, ty co kochasz Aspazyję, a mącisz jéj obraz spojrze-

niem pierwszéj ładnéj kobiety która przypadkiem na twéj drodze staje—czyż w tobie tylko gra ciekawość życia?—czyż niespokojność wyobraźni przemawia jedynie?—czy ty szukasz zdarzeń i okoliczności? czy dobierasz opisowych wypadków do powieści jakiejś, czy to każda niezwykłość wabi cię i uwodzi? czy téż masz w sercu życzenie którego nie odstąpisz? prawdę któréj nie skłamiesz choćby ona skłamała tobie, ku któréj iść będziesz choćby ona przed tobą aż po za grób uciekła.—O nie, dumna, dziwna kobieto! nie wrócę ja do ciebie, nie przeniewierzę się nadziejom moim, oblubienicy mego przeznaczenia—piękną jesteś—świetną jesteś—kochaną być możesz, ale zamarła jasność twego oka, zastygła krew twojego łona, zatruła się myśl pod czołem twojém—głos twój pieściwy i nęcący,—dotknięcie rąk twoich miękkie i przejmujące, ale od słów twoich tchnienie w piersiach marznie, przy tobie serce cierpi i rozum się błąka—ty nie objawisz Boga, ty nie dasz nieba biedna potępiona—o nie, nie!—ja zapomnę o tobie, ja zdmuchnę jak mętne szumowiny obraz twój z mózgu mojego—ja o dzisiejszéj nocy powiem sobie—nie była—i daléj pójdę—daléj, daléj, a w przyszłości—spotka mnie ona—piękniejsza bo kochająca—bogatsza bo szczęśliwa—i z tą będzie miłość moja, z tą matki błogosławieństwo, z tą niebo i Bóg......

Daleko musiało być od zamku do mego pomieszkania.—

Sokół własnemu zostawiony instynktowi, biegł prosto, najkrótszą drogą, sadził przez rowy i płoty a jednak cienie drzew przykurczyły się zupełnie i zaczynały zlekka na wschodnią stronę usuwać gdy przed domem stanąłem.

Wyszedł Bazyli na moje spotkanie, pogderał trochę że koń tak zmęczony, że ja po nocy karku gdzie nadkręcę, ale mimo to uśmiechał się tajemniczo i coś o niespodziance, o przybyłych gościach wspominał.

W jednéj minucie sto przypuszczeń mignęło mi przez głowę, co prędzéj wbiegłem do pokoju—na pierwszy rzut oka uderzyła mnie tylko wielka jakaś pokostem pod światło błyszcząca tablica, ale gdy naprzód postąpiłem, gdy w lepszém stanąłem miejscu—o doprawdy na chwilę zdawało mi się że to czary, że to niepodobieństwo.—Naprzeciw łóżka mojego wisiał obraz kobiety pieszczącéj, wspartą na jéj ko-

lanach młodzieńca jakiegoś głowę.—Kobietą ona była—wyraźnie ona, też same rysy, też same czoło wzniosłe i myślące, też same usta namiętne a czyste i niewinne, taż sama włosów promienność, taż sama krągłość ramion i wyniosłość piersi, tenże sam odcień rumieńca na licach i białości na łonie, téj białości nie zimnéj jako śnieg, nie martwéj jako alabaster, lecz téj białości na któréj czuć prawie ciepły słońca promień, pod którą widać nieledwie krwi młodéj i zdrowéj krążenie; —tak jest, to była ona, ale więcéj niż ona, więcéj niż ta kobieta, którą mi blask piorunu i kunsztownych kagańców oświecił, jéj kształty wypełniły się innym duchem—ona była taką jaką być mogła gdyby kochała, ona była szczęściem, objawieniem, miłością,—a tym młodzieńcem u jéj kolan, tym pieszczonym zachwyconym, tym kochanym, byłem ja.—I nie mogłem rozczarować ułudzenia—gdyby chociaż raz spojrzała na mnie swojém kamiennem, ciemno-połyskliwém okiem, tobym może otrząsnął się z ogarniających mnie potęg,—ale nie, ona miała spuszczone powieki, i tylko na twarzy mojéj odbiciem niewypowiedzianéj rozkoszy, najżywszego uwielbienia, i najtkliwszéj podzięki, rozświecał promień jéj źrenicy.—Zgadywałem, przeczuwałem to spojrzenie,—serce mi się wydarło ku niemu, pół życia uciekło ze mnie i wstąpiło w pierś młodzieńca na obrazie—i miałem taką chwilę, jakiéj z was żaden podobno mieć nie będzie—wyście marzyli, kochali, pragnęli, otrzymali—używali—jedną biedną duszą waszą, jedném waszém nędzném ciałem, jam miał dwie dusze, dwa ciała, dwa szczęścia, ja w obrazie drżałem pod jéj pieszczotą, piłem jasność jéj źrenicy—dumny byłem radością jéj—wielki byłem miłością jéj—a po za obrazem tkwiła we mnie pewność niezachwiana, spokojność rozumna, bo taka kobieta żyła przecież, a choć martwa, choć inna, to mnie do piersi zstąpiło tyle ufności we własne siły, tyle wiary we wszelką dobrego możliwość, tyle marzeń i nadziei, że ja co tak ukochałem, czułem, iż mogłem stworzyć miłość w niéj, mogłem wstąpić choćby do piekieł, zbawić choćby szatana—obraz mi wszystko przyrzekał, obraz mi wszystkiego dotrzymywał.

Wtém Bazyli wszedł do pokoju, kiwał głową i ręce zacierał—a co? rzekł, czy panicz wiedział o tém? ci śliczni państwo wczoraj do nas

późnym wieczorem zjechali—i cóż? panicz się o nic więcéj nie pyta?

Prawda była, ja o nic nie pytałem, obraz już mi zdawał się koniecznością mojego życia.

— Jest i list przecie, dodał Bazyli zniecierpliwiony trochę, list i paka okazyą się tu dostały.

List, powtórzyłem drżącym głosem, a serce zaczęło mi bić gwałtownie, a z duszy w uroku szczęścia zawisłéj, wydobyła się nagle niczém na pozór nieusprawiedliwiona niespokojność i trwoga co mi w piersiach oddech tamowała.—Chciałem sobie przypomnieć, czego ja się to lękać mogę—zrobiłem wielkie wysilenie, od teraźniejszości oderwałem pamięć moję i cofnąłem ją w przeszłość—ale pamięć dochowała mi tylko śladu jakiegoś przykrego wrażenia, jakiéjś groźby niepewnéj. Wszystko to zaledwie tyle czasu trwało ile go potrzeba było Bazylemu do przejścia przez pokój, wyjęcia zachowanego między książki listu i podania mi nakoniec; widzę jeszcze poczciwie radośny uśmiech jego w téj chwili gdy mi świecił przed oczyma znajomym podpisem—co prędzéj wziąłem, rozdarłem kopertę i pamięć mi wróciła, i przypomniałem sobie wszystko, bo oczy moje padły na te wyrazy ręką Ludwinki skreślone:

— „Miałeś brata Cypryjana."

Co się potém ze mną stało, nic a nic nie wiem.—Dobra to rzecz takie upadki nagłe i niespodziewane, z obłoków prosto w studnię.—Organizm natury nie może im wydążyć, robi małą synkopę, a czas idzie sobie jako szedł i policzony nam jest w życie według zegarka i według kalendarza.

Kiedy moja synkopa ówczesna wartość swoję przetrwała już, a na klawisze pamięci kiedy los, ten fantastyczny wirtuoz, przyłożył swoje djabelskiemi pazurami zakończone palce, była to noc właśnie—jak dziś jeszcze widzę i przypominam sobie wszystko.—Lampka musiała gdzieś stać na ziemi w głowach mojego łóżka, gdyż swiatło jakieś migotało po pokoju, a nie mogłem wytłomaczyć sobie skąd się wzięło, lecz wkrótce wyobraziłem sobie że bez wątpienia w podłodze deska jakaś ciągle się unosi i spuszcza, a z pod téj deski wydobywa taka ciecz powietrzna, jasna i w rozmaitym stopniu wszystkie przedmioty zalewająca; przyznam się, że mnie téż bardzo ucieszył mój dowcip w wy-

należieniu tak prostéj przyczyny.— Rozpatrywałem się potém coraz lepiéj i zobaczyłem przy nogach moich na stołku jak na łódce chwiejącą się postać staréj kobiety, która zupełnie do miary z wznoszeniem i opadaniem światła, wznosiła i opuszczała głowę swoję, obok niéj stał nieruchomy jakiś zwierz na czterech cienkich nogach z białym łbem w środku ciała.—Ten zwierz przycichłym głosem ciągle mówił: tak, tak, tak.—Naprzeciw mnie zaś, zupełnie nie naprzeciw mnie, ale nademną, nad kobietą i nad zwierzem wyjęto kawał ściany—w tę stronę jasnéj cieczy najwięcéj płynęło, wyraźnie więc ujrzałem rozwarty pokój przepyszny, rozłożone najbogatsze wezgłowia, a na nich siedzącą Aspazyę w białéj greckiéj tunice, u ramion dwoma kameami spiętéj.—Zawstydziłem się okropnie że ja tak blizko nieubrany leżę—chciałem wstać, ale stara kobieta okropnie głową zatrzęsła, przestraszyłem się, bo myślałem że krzyknie na mnie, a gdyby krzyknęła, toby pewnie Aspazya dotąd w głębi swéj komnaty czém inném zajęta, wstała i przyszła zobaczyć co się dzieje—i zobaczyła mnie—mnie w koszuli z jakąś chustką na głowie pod flanelową kołdrą.—Nie, téj myśli przenieść na sobie nie mogłem, ogarniał mnie zaraz taki przestrach, czułem się tak zhańbionym, że aż wszystkie poty biły na mnie, przylęgłem więc cichuteńko, a stara baba zaczęła mi zwolna głową potakiwać a zwierz jéj potakiwał nawzajem, a ja tymczasem przemyśliwałem tylko coby to zrobić żeby ich oszukać, żeby się ubrać i uciec do tego pokoju w którym Aspazyja siedziała.—Kłopot wielki, bo suknie daleko odemnie leżały, co więcéj nawet sładała je dni powszednich odzież, krótki z grubego sukna spencer i skórą oblamowane spodnie—nie można było tak wystąpić przecież, mnie się chciało także greckiéj tuniki, purpurowego na zarzucenie przez jedno ramię płaszcza, greckich na nogi koturnów, bo inaczéj Aspazyja mi powie—„idź precz—jesteś brzydki."—Przymierzałem ja sobie tych wszystkich strojów w życzeniach moich, aż nakoniec ubrałem się w nie i podniosłem trochę, by zobaczyć czy mi pięknie będzie—było prześlicznie—widziałem jak Aspazyja objęła mi szyję w okrągłość cudnych kształtów ręki, przygarnęła do łona swego i patrzyła w oczy ku jéj oczom wzniesione i mówiła mi:

— A widzisz że wróciłeś Benijaminie—teraz ja ciebie kocham, teraz nie jesteś już nudny, ubogi i śmieszny—zabiłeś smoka w jaskini wa-

welskiéj, odebrałeś mu klucz od skarbów jego i przeczytałeś wszystkie książki jakie były wystawione na Lipskim jarmarku—o! ja cię bardzo kocham Benijaminie, każesz mi zrobić balon z pajęczyny, mój murzyn zaniesie go na najwyższą z gór Himalaja, tam sobie razem jak do kocza wsiądziemy, dwa moje małe szatanki dmuchną tylko i polecimy wysoko, wysoko szukać Cypryjana na gwiazdce polarnéj—spiesz się tylko mój kochany i weź co najcieplejszego, bo śniegów pełno na wierzchołku skały.

Ja się spieszyłem, gorąco mi się robiło, gdyż wiedziałem, że lada chwila baba na mnie obejrzéć się może i znów mnie do łóżka zapakuje, a wtedy co ja poczne nieszczęśliwy? wtedy Aspazyja się dowié że ja smoka nie zabiłem—że ani jednéj więcéj książki od tego czasu nie przeczytałem, że nie mam tuniki, płaszcza, koturnów, i że leżę pod flanelową kołdrą.—Męczyłem się tą bojaźnią jak zmorą, którąby mi na żołądku usiadła—co ją zepchnąłem na chwilkę, to znów wracała upornie, zaledwie wstępowałem w wyłom ściany i opierałem głowę o kolana Aspazyi, zaledwie ona cożkolwiek przemówiła do mnie, zaraz tak wypadało że powinienem był wstać, chodzić, ruszać się, bo albo mnie wysyłała po Cypryjana, albo prosiła, żebym jéj przeczytał moje wiersze, które na samém dnie ogromnego kufra leżały, albo kazała sobie przynosić wachlarze, ołówki, cyrkle, harmonijki, worki pereł i trzcionek drukarskich, pęki rozkwitłéj paproci i pęki rózg liktorskich i smocze zęby z szczękami.—A ja biedny skoro tylko jednym muskułem drgnąłem, zaraz się widziałem rozciągniętym na łóżku z tą przy nogach moich babą szkaradną, która coraz wyżéj i głębiéj folowała na swojéj łódce, coraz groźniéj głową swoją trzęsła.—Nakoniec przedsięwziąłem pokorą ją wzruszyć– zacząłem do niéj mówić głosem tak cichym, jak myśl, i prosiłem, zaklinałem, żeby mi wstać pozwoliła, żeby mi nieznacznie podała te ubiory, które dla mnie za murem w otwartym pokoju wiszą, ale stara wykrzywiła się piekielnie i odpowiedziała mi: dzięki Bogu, że równie cicho przynajmniéj.

— Nie uciekniesz mi stąd, będę cię trzymała póki ci włosy nie osiwieją i póki wszystkich zębów nie stracisz, przykryję cię niemiecką pierzyną, włożę ci białą szlafmycę na głowę i do samego końca nosa przystawię ci dwie ogromne pijawki.—Te pijawki, ta szlafmyca i pie-

rzyna zabijały mnie—a tymczasem nad głową baby słyszałem jak Aspazya mówiła:

— Benijaminie, każ osiodłać twojego Sokoła, pojedziemy razem, o! zawsze razem mój Benijaminie, nasze konie będą miały rzędy koralowe i złote podkowy—puścimy się z gór Karpackich na ukraińskie stepy, jednem spięciem ostrogi Dniepr przeskoczymy i schwytamy Cypryjana, przywieziem go matce,—o prędko wybierajże się Benijaminie mój!

Na te słowa Aspazyi mnie rozpacz ogarnęła, wlepiłem oczy w starą moję strażniczkę, i widząc ze nie uważa na mnie, wstałem jak mogłem najciszéj—myślałem sobie, jeźli się obejrzy i krzyczeć zacznie, to ją uduszę—ale ona nie obejrzała się i na ten raz dość jednostajnie zanurzała i wynurzała się wśród płynącego do koła światła.—Uszczęśliwiony jéj spokojnością, kocim krokiem podszedłem ku szafie z rzeczami, wyciągnąłem płaszcz tylko, okryłem się nim i mając jakieś niepewne wyobrażenie, że choć to ubiór mniéj dostateczny, będzie można jednak po drodze innego dostać,—sunąłem się jak cień ku drzwiom—zchwyciłem za klamkę i daléj w nogi.—Zdawało mi się, że usłyszałem wkrótce głośne wołanie za sobą:—„Panie Benijaminie! panie Benijaminie!" lecz ja wiedziałem co mnie czeka—pierzyna, szlafmyca i pijawki u nosa,—nie odzywałem się przeto, biegłem ciągle a noc była czarna jak atrament, a każdy krok mój cichy jak westchnienie, gdyż biegłem boso.—Według mojego zamiaru chciałem wielkie koło określić i z drugiéj strony domu wejść do tęgo pokoju w którym Aspazya czekała na mnie, lecz kiedy mi się zdawało że już blizki celu byłem, nagle zimno dotkliwe nogi mi podcięło,—zachwiałem się i upadłem, upadłem w wodę.—Rzeczywistość, niebezpieczeństwo—wróciło mię do przytomności, chciałem wołać o pomoc ale woda zalała mi usta—zrobiłem machinalnie kilka poruszeń jak do pływania i znów z sił opadłem, fałdy mego płaszcza uniosły mię tylko, murt wody pchnął ku brzegowi, a czując pod ręką jakieś krzaki i zarośla, schwyciłem się ich z całą mocą, która mi została jeszcze.

Co ma być, to się stanie—wierzą Turcy i ja wierzę, nie uciekniesz przeznaczeniu.—Kiedy się po raz drugi ocknąłem, głowa moja złożona była na łonie kobiety, oczy moje patrzyły jakby jeszcze w choro-

bliwéj gorączki rojeniach na jéj piękną twarz ku mojéj twarzy schyloną.—Biedne dziecię, mówiła, a tak słodko i tkliwie, jakby matki głosem;—biedne dziecię co tobie? czy ty doprawdy ubogi i nieszczęśliwy bardzo?

Na te słowa wróciło mi pojęcie życia z całą boleścią swoją i ze wszystkiemi radościami swojemi—okropna strata i najpiękniejsza nadzieja razem w zbudzone serce uderzyły—wydołać im nie mogłem—łkania pierś przepełniły—zasłoniłem twarz rękoma i rozpłakałem się rzewnemi łzami jak kobieta.

KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA.

1. *Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy, zebrane przez A(dama) F. Adamowicza.* Nakładem Rubena Rafałowicza księgarza wileńskiego.—Wilno. W drukarni M. Zymelowicza Typografa, 1846, stronic 130, w dwunastce wielkiéj.
2. *Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy, zebrane przez A. F. Adamowicza.* Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1846. Stronic 112 w osemce zwyczajnéj.

Na obu zeszytach dewiza z Jana Kochanowskiego:

„Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Pamiętne godło, które Jędrzéj Śniadecki, Ojciec lekarzy wileńskich, obrał sobie do *Teoryi jestestw organicznych*, posłużyło młodemu Allopatów pokoleniu za tarczę, pod którą przedsięwzięli ogłaszać swe prace. Nie mając pisma czasowego lekarskiego od zamknięcia *kollektaneów medyczno-chirurgicznych*, których tylko Tom I. wytłoczony, nie mając *Dziennika Medycyny*, który jeszcze w 1831 roku zaprzestał wychodzić, postanowili lekarze litewscy, pod przewodnictwem *Prezesa Towarzystwa lekarskiego wileńskiego*, b. Professora b. wileńskiéj Akademii, Doktora Med. Adamowicza, ogłaszać swoje postrze-

żenia praktyczne, zbliżone do zasad hippokratesowych, których lekarze tamtejsi, jak pisze Dr. A. F. A. w przemowie:—„nigdy z uwagi swojéj spuszczać nie zwykli."

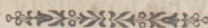
W pierwszym zeszycie, między 20 artykułami, po największéj części przez Dra Adamowicza redagowanémi, znajdują się inne prace następnych lekarzy: Klemensa Maleszewskiego, Chońskiego, L. Wróblewskiego, Trachtenberga, Józefa Pietraszkiewicza, aptekarza Justyna Kuszewicza (Rozbiór chemiczny źródeł w Zaleszczyznie) i kilka wypracowań Sekretarza Towarzystwa Dra Juliana Mószyńskiego, znanego z *podróży* swoich, których rozbiór umieściliśmy dawniéj w piśmie naszém *). Na szczególniejszą zasługuje uwagę artykuł Doktora Chońskiego, któremu gdy nie powodziły się wszelkie sposoby jakie Hunter, Rust, Blain, Hertwig i t. p. w leczeniu wścieklizny zalecają, użył kory peruwiańskiéj czyli Chiny—i nią kilku wyleczył.

Drugi zeszyt, oprócz jednego artykułu p. Dra Maleszewskiego i kilku wypracowań Sekretarza Towarzystwa Mószyńskiego, złożony z samych pism b. Prof. Adamowicza. Również jak w zeszycie poprzedzającym, znajduje się XX przedmiotów szczegółowych. Niektóre są nadzwyczaj krótko obrobione, bo zaledwo po kilka liczą wierszy. Na podobne *doniesienia* raczéj niż artykuły, radzilibyśmy lepiéj zrobić osobny oddział dla ich umieszczenia, pod nazwą np. *Rozmaitości*, jak to widzimy w innych pismach lekarskich.

Przy końcu obu zeszytów mieści się *Wiadomość o czynnościach Towarzystwa lekarskiego wileńskiego* w r. 1843 i 1844, z któréj dowiadujemy się, iż członków miejscowych było 31, korrespondentów krajowych 88, zagranicznych 67. W roku zeszłym obrano na Prezesa Towarzystwa b. Prof. Akademii Feliksa Rymkiewicza, na Wiceprezydenta (Vice-Prezesa) b. Prof. i Prezesa A. F. Adamowicza. Nie mając Towarzystwo stałych dochodów, załatwia wszystkie potrzeby swoje z dobrowolnych składek, których rachunek szczegółowy prowadzi Podskarbi Towarzystwa.

*) Patrz Przegląd Naukowy z roku zeszłego Ogólnego zbioru Tom XIV. str. 355—366, art. p. H. S.

W ogóle można powiedzieć o *postrzeżeniach litewskich lekarzy*, iż przeglądając ich prace, miła się nasuwa myśl pamięci, że ziomkowie nie grzebią do ziemi darów swoich, ale je w krajowéj ogłaszając mowie, czynią dostępniejszemi dla ogółu. Wiele tu bowiem znajduje się takich przedmiotów, które od wszystkich (t. j. i od *nielekarzy*) mogą być z pożytkiem czytane, jak np. Uwagi o herbacie,—o używaniu okularow,—o tak powszechnych pigułkach Morissona i t. p. Rozbiór krytyczny tego dziełka, jako rzecz specijalna, nie należy do naszego pisma. Zapewne więc sąd odpowiedni przeczytamy w wyłącznie ku temu przeznaczoném Czasopiśmie Warszawskiém p. t. *Pamiętnik Lekarski.*



NOWOŚCI.

Pozostały rękopism po ś. p. Święckim, autorze *Starożytnéj Polski*, obejmujący życiorysy sławnych Mężów w Polsce, nabył jeden ze znakomitszych księgarzy Warszawskich—i zamierza go wydać, po dopełnieniu opisów życia sławniejszych ludzi znanych w kraju naszym, aż do końca panowania Stanisława Poniatowskiego.

— Znajduje się pod prassą Powieść dwu-tomowa, p. t. *Nocy na Cmentarzu Père Lachaise*, przez Leona Gozlan, przekładu tłumacza *Tajemnic Londynu* Seweryna Porajskiego.

— Uldyński, były Professor liceum krzemienieckiego, przygotował do druku kurs Historyi Powszechnéj, który czeka tylko na nakładcę.

— Wyjdzie także z druku w Warszawie kurs nauk służących do wychowania panien, oryginalnie po polsku napisany przez N. Ż.;—oraz podobnyż kurs drugi, tłumaczony z pism pani Tastu, z dodaniem Grammatyki Polskiéj przez panią S. i Historyi przez W. S.

